

Ibsen. Rewolucja ducha [TPCT 529]

W tym numerze chcemy spojrzeć na Ibsena jako świadka nowoczesności, którego twórczość mówi rzeczy nieprzyjemne, a właśnie dlatego konieczne. Czym jest rewolucja ducha, do której nawołuje Norweg? Jak rozumieć jego pojęcie zwartej większości i czy nadal pracuje ono jako narzędzie poznawcze? Co zostaje z idei kłamstwa życiowego, gdy patrzymy na nią z perspektywy Pascalowskich rozważań o człowieku albo współczesnej antropologii filozoficznej?

Doktor Tomasz Stockmann stoi pośrodku pomieszczenia, wokół niego, w starożytnej sali w domu kapitana Holstera, narasta gwar. Protestują sąsiedzi, obruszają się dawni przyjaciele, nawet jego własny brat – burmistrz miasta. Wszyscy zgodnie powtarzają: wróg ludu! A jego przewinienie sprowadza się do tego, że odkrył prawdę: wody uzdrowiska, z którego miasto czerpie swój dobrobyt, są zatrute. Ta scena z „Wroga ludu”, napisana w 1882 roku, doczekała się tylu inscenizacji i komentarzy, że można by uznać ją za cokolwiek przebrzmiałą, już opowiedzianą i w gruncie rzeczy – zdezaktualizowaną. A jednak, ilekroć ktoś po nią sięga, okazuje się, że ma w sobie wciąż dawną siłę, coś w niej uwiera. Czy nie jest więc tak, że ta sytuacja nadal dość dobrze opisuje kondycję jednostki i zachowania tyrani większości?

Henrik Ibsen, którego twórczość pozostaje jednym z najpoważniejszych namysłów europejskich nad istotą prawdy społecznej, zostawił po sobie dorobek nie tylko dramaturgiczny, lecz właściwie filozoficzny. Można powiedzieć, że jego teatr jest małą szkołą aletejologii i opowieścią o tym, co może się stać z prawdą, gdy wpadnie cięciem w tkankę życia społecznego. Sam Norweg nieomal się zżymał się na próby uczynienia z niego myśliciela, powtarzając: „Byłem bardziej poetą, a mniej filozofem społecznym, niż ludzie zazwyczaj skłonni są sądzić”. Niemniej jednak jego dramaty układają się w niezwykle konsekwentny katalog pytań, których nawet niejeden poważny filozof XIX wieku nie ośmielił się postawić tak wprost. Co dzieje się ze wspólnotą, kiedy zaczyna ona kochać własne złudzenia bardziej niż prawdę? Co zostaje z osoby ludzkiej, kiedy całe jej życie okazuje się umowną dekoracją zbiorowej fikcji? Czy wolność polityczna ma jakiegokolwiek znaczenie, jeżeli człowiek w pierwszej kolejności nie wywalczył wolności w przestrzeni zmagania z samym sobą?

Słynna „zwarta większość” Ibsena mogłaby nader łatwo być pomyłona z publicystyczną złośliwością. Nic bardziej mylnego! Mamy tu do czynienia z kategorią filozoficzną, bliską temu, co Hannah Arendt opíše jako ucieczkę od myślenia, a Eric Voegelin zobrazuje jako nade silny opór przed rzeczywistością. Ibsen powiada:

„Najniebezpieczniejszym wrogiem prawdy i wolności pośród nas jest zwarta większość”, by dodać niemal natychmiast: „Mniejszość ma zawsze rację. Mam na myśli tę mniejszość, która jest na przedzie, tam, gdzie większość jeszcze nie dotarła”. Próżno doszukiwać się tu pochwały snobizmu intelektualisty wobec gminu. Rzecz nie w tym, aby dostrzegać tu rzekomo jedyną słuszną progresywnych, a jeszcze niezrozumianych postulatów. Mamy raczej do czynienia z trzeźwą diagnozą: żywa prawda dociera do wspólnoty zawsze nieregularnie,

najpierw nielicznymi przedsionkami, a jej pierwszy etap historyczny to często nieuchronna samotność świadka. Klasyczna intuicja Sokratesa postawiona (przywołana?) w XIX-wiecznej mieszczańskiej dekoracji.

Jednak Ibsen nie pozostał jedynie na poziomie heroicznej walki prawdy ze zbiorowością. W dramatach późniejszych, zwłaszcza w „Dzikiem kacze”, wprowadza pojęcie, które należy do najbardziej przejmujących wkładów norweskiej idei do antropologii filozoficznej XIX wieku:

livsløgnen, czyli kłamstwo życiowe. „Odbierz przeciętnemu człowiekowi kłamstwo życiowe, a odbierzesz mu jednocześnie szczęście”. W tym jednym zdaniu jest coś niemal augustyńskiego, jakby ktoś trzeźwy zajrzał w głąb ludzkiej psychiki i zobaczył tam dwa, a nie jedno pragnienie. I paradoksalnie Ibsen wcale nie cofa się przeciw z pozycji prawdy. Dostrzega raczej, że człowiek nosi w sobie warstwy ochronnych form, zasłon, bez których nie umie żyć, a zerwanie ich bywa raczej aktem trudnej konfrontacji. Pomiędzy bezwzględną prawdą Stockmanna a delikatnymi zasłonami starego Ekdala rozpina się napięcie, którego żadna ideologia nie potrafi rozwiązać.

Wszak z tej samej intuicji wyrasta motyw upiorów. „Walczę z upiorami, z martwymi ideami i martwymi wierzeniami, których nie możemy się pozbyć”, pisał autor, wskazując, że człowiek w swej przygodności ostatecznie dźwiga w sobie nie tylko własne życie, ale i niedokończone sprawy ojców, niespłacone długi moralne czy odziedziczone schematy. Dziedziczność w tym ujęciu jest nie tyle biologiczna, co duchowa. I to być może najbardziej konserwatywna z prawd Ibsenowskich: jesteśmy uwikłani w przeszłość, której nie wybieraliśmy, ale którą musimy świadomie odróżnić, zauważyć, ponieważ historia składająca się na

poszczególne życiorysy zbudowana jest z odziedziczonej formy i niezakwestionowanej konwencji, która może niekiedy uwierać, przeszkadzać i nie dawać odpowiedniego wglądu w zastany świat.

Wreszcie sama wolność, kategoria u Ibsena rozumiana w sposób uderzająco antynowoczesny – jakby w poprzek ustalonym liberalnym schematom. „Nigdy nie zgodzę się na utożsamianie wolności z wolnością polityczną”, twierdził. Co więcej, wolność nie była dla niego stanem ani gwarancją, lecz procesem, czymś, co trzeba ciągle żywo przyswajać, jak mawiał „Ten, kto posiada wolność inaczej niż jako rzecz, o którą należy zabiegać, posiada coś martwego i bezdusznego, ponieważ z samej swojej definicji wolność stale rozszerza się, gdy próbuje się ją objąć”. W tym sensie Ibsenowska rewolucja jest zawsze rewolucją ducha, a nie barykady i ulicy. Dokonuje się w pojedynczej duszy, która odważy się przekroczyć granicę zbiorowej fikcji. „To, co się liczy, to rewolucja ducha” – stwierdza ostatecznie.

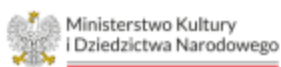
Sięgnięcie po Ibsena ma dziś w sobie pewną przewrotność. Wokół nas ciasno od deklaracji, programów emancypacyjnych, manifestów. A jednak pytanie, które stawia doktor Stockmann, pozostaje ponuro aktualne. Ile naszej wolności zdaje się obowiązywać dopóty, dopóki nie wykroczymy poza zwarte szeregi tego, co właśnie wypada myśleć? Ile naszej prawdy jest umowną prawdą plemienia, której rzeczywista cena nie była nigdy testowana? Jak rozpoznać, że żyjemy nie pośród idei, lecz wśród upiorów po ideach, których forma zachowała się, gdy treść dawno wyparowała? Niepodobna zaprzeczyć, że polska tradycja zna te pytania doskonale. Nasz spór z formą, prowadzony od Mickiewicza przez Norwida po Gombrowicza i Brzozowskiego, jest sporem

rodzinnym i cokolwiek nieukończonym. Ibsen wnosi do niego coś nieoczywistego: chłód protestanckiej diagnozy, surowość północy i precyzję w odsłanianiu mechanizmu samooszustwa.

W tym numerze chcemy spojrzeć na Ibsena jako świadka nowoczesności, którego twórczość mówi rzeczy nieprzyjemne, a właśnie dlatego konieczne. Czym jest rewolucja ducha, do której nawołuje Norweg? Jak rozumieć jego pojęcie zwartej większości i czy nadal pracuje ono jako narzędzie poznawcze? Co zostaje z idei kłamstwa życiowego, gdy patrzymy na nią z perspektywy Pascalowskich rozważań o człowieku albo współczesnej antropologii filozoficznej? Jest się nad czym pochylić.

Jan Czerniecki

Redaktor naczelny



Dofinansowano ze środków Ministra Kultury
i Dziedzictwa Narodowego